

TERMITIERA



Napisał: Mirosław P. Jabłoński

ilustrował: Przemysław Woźniak

Jeremy Kevin wiercił się niespokojnie w wielkim fotelu jakby oblażył go insekty. Zważywszy na osobę gospodarza nie było to nieprawdopodobne, jako że Kevin znajdował się w domu – laboratorium Stalneya Mountbattena, największego i najznamienitszego entomologa na Wyspach. Jeremy już od godziny przyglądał się naukowcowi i jego zbiorom – martwym i żywym. Byli otoczeni przez tysiące, czy może miliony czulek, nóg i szczyptec poruszających się w mniejszych i większych przezroczystych pojemnikach. Zwłaszcza jeden – ogromny prawie jak akwarium z Marinelandu – budził szczególnie odrazę Jeremy'ego, który chociaż niejedno już w życiu widział, był facetem wrażliwym i nienachalnym w poszukiwaniu nowych doznań. Szczególnie takich.

Przed godziną usiadł więc plecami do wielkiego pojemnika i teraz wiercił się nerwowo, bo drażniło go milczenie sąsiedztwo wwiercające się w jego kark tysiącami par oczu. Tak to odczuwał Kevin. Zdawało mu się nawet, że słyszy delikatne chrobotanie owadzych odnóży o szkło czy plastik, ale to było niemożliwe. Mountbatten zdawał się nie zauważać niczego, a już szczególnie niewesołego położenia, w jakie wpędził się Jeremy. Mówił powoli, statecznie, biorąc całkowitą odpowiedzialność za każde wypowiedziane słowo z osobna. Zdania układały się więc gładko, nie musiał przerywać, by zastanowić się nad sensem i poprawnością wypowiedzi – cenzus nadany każdemu słowu czynił to zbyt cichym. Prawie nie gestykułował i w momentach, gdy wypowiedź wymagała podkreślenia, Jeremy'ego aż świerzbiły ręce, by zrobić to za entomologa. Zakazał sobie jednak tego surowo i, chociaż był z natury porywczy, splótł ręce na brzuchu, aż pobieły kostki. Mountbatten i tego nie zauważył. Był zaprzeczeniem Jeremy'ego i podobny nie tyle do jednego owada, co do ich krzyżówki. Na dość okazałym ciele obłego, masywnego żuka, ciele podtrzymywanym przez krótkie, ale chude nogi, trzymała się głowa pasikonika – łysa, podłużna, z tragicznie opuszczonymi w dół zewnętrznymi kącikami oczu. Jeremy siedział blisko niego, ale w potoku miarowej wymowy tamtego nie słyszał zupełnie oddechu entomologa, jakby ten – na wzór swych podopiecznych – oddychał tchawkami, czy innym świństwem.

– Niech pan spojrzysz na tę termitierę – powiedział wreszcie Mountbatten i Jeremy mógł już z ulgą zwrócić się twarzą przeciwko niepokojącemu go sąsiedztwu.

Przesunął fotel tak, że miał teraz na oku i entomologa, i termitierę. To mu odpowiadało, choć widok nie był ani przyjemny, ani ciekawy. W szklanym pojemniku o wymiarach pięć na dwa i na trzy metry wysokim wznosiła się nieregularna budowla, coś jakby spróchniały pień powalony przed laty drzewa. Podobieństwo to zwiększała szarobrazowa barwa obelisku wznoszącego się na niewidocznej grubości warstwie ziemi skrywanej przez podłogę pawilonu. Pojemnik był szczelny i klimatyzowany, Mountbatten dbał, by warunki wewnątrz przypominały tropik. Mimo to termitiera miała tylko jakieś dwa i pół metra wysokości i sporo brakowało jej do zachwalanych przez entomologa sześciu, jakie ponoć osiągają te twory w naturze. Prawdę powiedziaławszy Jeremy, nie odznaczający się wcale imponującym wzrostem, był z tego zadowolony. Z odległości, w której siedział widział jakiś ruch na zboczach i u podnóża góry – kilkumilimetrowe owady biegały tam w swoich sprawach. Jeremy wzdrygnął się. Jego matka przez całe życie bała się pajaków, a Kevin z owadziej rodziny považał jedynie pszczoły, a i to w postaci „Bee honey” Spencera Co na stole.

Po ukończeniu college'u znalazł robotę w dziale miejskim jednej z popołudniówek i nie przypuszczał nigdy, że jego dziennikarskie drogi skrzyżują się ze ścieżkami owadów. Ale Mountbatten, najwidoczniej czytelnik szmatławca, w którym Jeremy pracował, zatelefonował rano ze swoimi rewelacjami i kierownik działu wysłał na miejsce Kevina, chociaż ten opierał się temu stanowczo. Jednak na protesty w stylu, że Jeremy nie zna się absolutnie na entomologii, kierownik popatrzył na niego jak na szczególnie ciekawy okaz rajskiego ptaka, a potem wzruszył ramionami. Był zdaje się zdumiony, że jeden z podległych mu ludzi uważa, iż reporter działu miejskiego powinien się znać na czymkolwiek poza obsługą magnetofonu i maszyny do pisania. Ze swego przepastnego biurka wyłowił „Mały atlas owadów” i jeszcze coś z entomologią w tytule, co Jeremy skrzętnie wrzucił do szuflady własnego biurka, nie zamierzając oglądać tego przed lunchem. Po lunchu doszedł do

wniosku, że zagłębianie się w podobną lekturę byłoby jeszcze bardziej niebezpieczne i wsiadł do auta, by złożyć wizytę naukowcowi w jego podlondyńskiej posiadłości.

– Owady – ciągnął spokojnie swój wykład Mountbatten – to jedna z pomyłek, czy też ślepych uliczek ewolucji. Natura niby to stworzyła istoty zdolne do życia społecznego – termitery na przykład liczą do kilku milionów osobników – ale cóż z tego kiedy tchawki stały się barierą nie do przeskoczenia. Owady nie mogły powiększyć swego ciała, a co za tym idzie rozwinąć zwojów głowowych w mózg. Do tego tchawki nie nadawały się, bo powyżej pewnej wielkości ciała, którą można precyzyjnie wyliczyć, organizm oddychający nimi udusiłby się i już. Natura porzuciła więc owady na rzecz dalszych eksperymentów, a czasu miała dużo. Należy sądzić – personifikując ją – że ewolucja pokładała wielkie nadzieje w owadach i doznała srogiego zawodu. Świadczyłaby o tym ilość owadów, które są najliczniejszą gromadą w świecie zwierzęcym. Ja jednak doszedłem do wniosku, że ów ślepy zaułek, w który zostały wpędzone owady, nie jest zupełnie spisany na straty. Co na przykład pan, panie Kevin, robi, gdy przez pomyłkę zapędzi się pan w ślepią uliczkę?

Kevin zmieszał się, nie słuchał dokładnie, miał tylko wrażenie, że rzecz dotyczy ruchu drogowego.

– Wycofuję wóz albo szukam objazdu – wystękał jak w szkole śledząc badawczo i z napięciem twarz Mountbattena, by w razie najmniejszego skrzywienia jej rysów wycofać szybko nieprawidłową odpowiedź.

– Właśnie – potwierdził entomolog zamykając i otwierając okropnie powoli swoje naznaczone tragizmem oczy. – W wypadku ewolucji cofanie się nie wchodzi w rachubę. Jest to jeden z procesów nieodwracalnych – co raz zostało wyprodukowane musi istnieć lub zginie, choćby to miała być hekatomba ofiar. Ta matka nie troszczy się zbyt o swoje dzieci. Tak myślano dotychczas. Ja natomiast wysnułem wniosek, że Natura nie zapomniała o owadach i przygotowuje dla nich miejsce. Uznała je widać za twór rokujący największe nadzieje. Odłożyła więc sprawę na ten milion czy dwa miliony lat, cały czas szukając objazdu, o którym pan mówił. I znalazła.

Jeremy nadstawił uszu, bo wydawało mu

się, że dobijają do celu o jakim Mountbatten mówił przez telefon i który był powodem tego spotkania.

– Ludzie – ciągnął entomolog monotonicznie, jak wykład z podstaw farmacji, na który Jeremy poszedł kiedyś przez pomyłkę. – Ludzie są tym objazdem. A ściślej wszystko, co do naszego powstania się przyczyniło, a więc płazy, gady, ptaki, ssaki, no i naczelne. Uznaliśmy sami siebie za ukoronowanie działań ewolucji zapominając po pierwsze, że wraz z powstaniem człowieka procesy i prawa przyrody nie uległy zawieszeniu czy zahamowaniu, a po drugie, iż dumny termin „naczelne” nie znaczy tylko, że jesteśmy „naczelnikami” wszelkiego stworzenia, lecz że chwilowo znajdujemy się „na czele”, czyli w przodzie wyścigu. A z tego wcale nie wynika, że kto szybciej biegnie, ten dalej dotrze. Rosjanie, przed którymi trzęsiemy teraz portkami, mają takie powiedzenie. Pan zna rosyjski?

– „Legcze jediesz, dalsze budziesz” – wystękał Mountbatten krzywiąc się niemilośnie. – Albo jakoś podobnie.

Jeremy'ego od razu rozboleła szczęka, i pomasaował ją.

– Tak właśnie postąpiły owady, czy też za nie uczyniła to Natura. Zostawiła je w pełni uformowane ufna, że przetrwają do właściwej chwili, i zaczęła szukać dla nich objazdu. Droga była daleka, powstało wiele gatunków, które zgładziła, bo nie dawały pomyslnych rokowań na przyszłość. Niech pan pomyśli o mezozoiku, o wielkich gadach. Co się wtedy działo! Wszak one, gdyby tylko umiały, musiałyby myśleć jak my – że są uwierczeniem ewolucji. Czy były jakieś przesłanki, które by temu przeczyły? Skąd! Były najpotężniejsze – jeżeli walczyły, to między sobą wzajem, bo nie miały naturalnych wrogów. Dopiero gdy pojawiły się ssaki, musiały odejść. Ssaki to był czarny koń ewolucji. Z początku szło opornie, ale jak już powstały owe „naczelne”, a z nich człowiek, to błyskawicznie doszedł od maczugi do bomby wodowej. Na to czekała Natura ze swymi owadami. Jak pan pewnie wie, zdecydowana ich większość jest odporna na ogromne dawki promieniowania, a taki na przykład karaluch może sobie gwizdać na skażenie. Gdyby, rzecz prosta, miał czym.

I tu dochodzimy do sedna. Jak w przypadku niewytłumaczalnej zagłady wielkich ga-



dów, tak i my stoimy przed apokalipsą, która nieuchronnie zaplanowana została miliony lat temu. Po prostu mieliśmy powstać, zbudować bombę i zrzucić ją sobie na głowy, by oczyścić plac dla przeobrażonych przy tej okazji owadów. Owady-mutanty, wyposażone w niemożliwe do przewidzenia organy spełniające rolę płuc, mózgow, etc., zajmą nasze miejsce.

Jeremy przeknął ślinę i odważył się przez ramię popatrzeć na termitierę. W tym otoczeniu gotów był uwierzyć we wszystko, chociaż jednocześnie był przekonany, iż Mountbatten jest nieszkodliwym szaleńcem.

– Ma pan jakieś dowody na to? – wydukał przypominając sobie o obowiązkach reportera działu miejskiego.

– Oczywiście. Podam je w skrócie, ale ich ustalenie zajęło mi wiele lat. Z powodu podobieństwa do społeczności ludzkich, a więc: liczebności, kastowości, podziału obowiązków i co za tym idzie – największej predestynacji do przejęcia naszej roli – skupiłem się na mrówkach i termitach. Pan pewnie nie wie o tym, ale termitiery i mrowiska są budowane zawsze i wszędzie według tego samego planu. Dany gatunek na całej kuli ziemskiej tworzy tak samo, różnice dotyczą materiału i wyglądu zewnętrznego kopców, na który zresztą najczęściej wpływa po prostu erozja. Plan korytarzy, komór, wyjść i wszelkich „urządzeń” wewnętrznych jest taki sam. To normalne, uważaliśmy, bo po prostu zakodowane genetycznie. Jak budowa gniazd i legowisk przez inne zwierzęta. I oto od początku tak zwanej „ery atomowej” pojawiły się wyraźne anomalie.

– Promieniowanie? – podrzucił zainteresowany nagle Jeremy.

Mountbatten skrzywił się.

– Tak, wpłynęło, ale nie w sposób, w jaki pan najprawdopodobniej uważa. Promieniowanie, wpływ działalności człowieka, zanieczyszczenia środowiska stały się już hałmami i ulubionym wytłumaczeniem różnych zjawisk dla nieuków. Kładą do wspólnego worka wszystko czego nie potrafią wyjaśnić, a na worku piszą: „Wpływ cywilizacyjnych oddziaływań człowieka”. I nadają pospiesznym frachtem do Oslo w oczekiwaniu na nagrodę Nobla. Nie, ja udowodniłem po prostu, że to nadszedł ich czas, czas owadów. Tak jak miały one genetycznie zakodowany dotychczasowy sposób budowania kopców,

tak też natura wpisała im informację kiedy nadejdzie ich pora i kiedy ów plan konstrukcyjny należy zrzucić i zastąpić innym, bardziej adekwatnym do nowych warunków. I w tym wypadku ma pan rację: czynnikiem wyzwalającym tę informację stał się podwyższony stopień promieniotwórczości gleby świadczący, że człowiek opanował już wyzwalamie energii jądrowej i gotów jest do wykopnięcia spod siebie stołka. Ale rzecz w tym, że ta informacja już tam – czyli w kodzie genetycznym owadów – była. Była od milionów lat, trwała jak obraz fotograficzny w stanie utajonym i czekała jedynie na wywołanie i utwalenie. Gdyby nie istniała, owady w żaden sposób nie zareagowałyby na sygnał podwyższonej radiacji, bo im ona nie szkodzi!

– A zareagowały?

Mountbatten skinął głową.

– Tak. Moje badania dowiodły tego. Budują od kilkudziesięciu lat inne kopce. To znaczy, na zewnątrz niczym się one nie różnią od poprzednich, ale plan, według którego drążą korytarze uległ zmianie. Nastąpiło to niemal skokowo, co tylko świadczy za moją teorią. Gdyby udoskonalenia zachodziły powoli, gdyby owady „dopracowywały” się coraz nowszych koncepcji, to świadczyłyby jedynie o ich rozwoju – co oczywiście byłoby rewolucją nie tylko w świecie nauki. Ale nie, nagle jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki został wywołany inny plan. Pokażę coś panu.

Entomolog wstał i jeszcze bardziej niż przedtem podobny do żuka podreptał w stronę ogromnej sterty papierów, która okazała się przysypanym nimi biurkiem. Chwilę kopał tam zawzięcie i przyniósł dwie grupy odbitek fotograficznych. Wetknął je Jeremy'emu pod nos i wrócił na swój fotel. Kevin niezdecydowanie obracał zdjęcia w rękach.

– Te, które pan trzyma w lewej ręce, to zdjęcia rysunków, jakie wykonałem na podstawie przekrojów termitier. Niech je pan obejrzy i porówna z tymi z drugiej ręki, a potem panu powiem, co one przedstawiają.

Kevin obejrzał przekroje. Niektóre były poziome, inne pionowe i poza tym, że te z lewej dłoni były zdjęciami planów wykonanych odręcznie, a nie od linijki, niczym w zasadzie nie różniły się od tych z prawej.

– Są prawie identyczne... – zawahał się.

– Nie prawie, one są identyczne. Te z drugiej odbitki, to plany schronów przeciwoatomowych w hrabstwie Yorkshire. Co pan na to?

Kevin pokręcił głową zezując to na prawą, to na lewą rękę i nic nie odpowiedział. Mountbatten wydawał się jednak być usatysfakcjonowany.

– Można tylko pogratulować naszym inżynierom – powiedział – którzy stworzyli optymalną konstrukcję, zaprogramowaną przez naturę przed milionami lat. Jak przenieść te rysunki na kalkę i przyłożyć do siebie oglądając pod światło, to w zasadzie różnic nie ma. Zasięgałem prywatnie opinii na ten temat i wiem, że w projektowaniu schronów nie kierowano się żadnymi schematami z przyrody. Wysnułem więc wniosek, że wojna atomowa jest nieunikniona, a jej perspektywa coraz bliższa. Owady przygotowują się do jej przetrwania, zmiany jakie wprowadziły w swych naziemnych i podziemnych budowlach są z korzyścią dla „magazyków” żywności, a moje termyty przeniosły uprawę grzybków do znacznie powiększonych komór pod powierzchnią ziemi. Do zasklepienia wejść przygotowały jakiś porowaty materiał, który pod względem filtracyjnym porównywalny jest z węglem aktywnym.

– Pan jednak mówił – wydobył wreszcie z siebie głos Jeremy – że owady mogą i tak znieść większe promieniowanie niż ssaki. Po co im te przygotowania?

– Większe to nie znaczy nieograniczone. Trudno powiedzieć, jakie będzie natężenie radiacji, gdy dojdzie do ostateczności. Jeżeli wszyscy wypalą ze wszystkich rur, to nic nie będzie wtedy przesadzoną ostrożnością. Pan przecież wie, co się dzieje na świecie. Pan pracuje w gazecie, nie ja. Południe nie oddaje Północy długów, w Afryce głód, ziemie stepowieją, wojujący Islam zwołuje wiernych pod swe sztandary, flota USA z jednej, a Rosji z drugiej strony nie opuszcza Morza Śródziemnego. Czego pan jeszcze chce?

– To prawda – westchnął Kevin – ale tak jest od lat i wszyscy się do tego przyzwyczaili.

Mountbatten wzruszył ramionami i Jeremy zrozumiał, że się wygłupił. Właśnie to było najgroźniejsze i zapowiadało nieuchronność kataklizmu. Chciał zadać ostatnie pytanie, ale bał się. Zadał więc inne.

– Czemu zatelefonował pan do nas? Przecież mój „Obserwator” to najgorszy szmatławiec? Kto pana wysłucha i zrozumie?

– Pewnie nikt. Ale też nikt inny nie chciał tego opublikować, ani nawet wysłuchać. Poza tym jestem entomologiem, a nie politologiem czy politykiem. Nawet w swojej dziedzinie zostałem wysmiany przez tak zwanych kolegów po fachu, którzy czekają na zajęcie mojego miejsca. Tak to jest, panie Kevin, gdy się za długo żyje. Pan pewnie nie wie, ale ja mam osiemdziesiąt cztery lata i zapewniam pana, że wojna atomowa nie jest mi bardziej straszna niż śmierć w łóżku. Szkoda, co prawda, tego wszystkiego cośmy jako ludzie stworzyli, ale co mnie to będzie obchodzić?

– Kiedy to będzie?

Mountbatten wzruszył ramionami.

– Kto to może wiedzieć? Niedługo...

Wstał i podszedł do blatu zastawionego niewielkimi pojemnikami. Wracając podał jeden Kevinowi.

– Niech pan to weźmie.

Jeremy spojrział i odruchowo cofnął ze wstrętem wyciągniętą już rękę. W szklanym słoju kotłowały się termyty. Pojemnik upadł, bo entomolog nie spodziewając się takiej reakcji puścił go już. Teraz pod spadający słoć podstawił nogę i szklany pojemnik nieuszkodzony odbił się od buta i potoczył po podłodze. Mając w pamięci wiek Mountbattena, Jeremy przewyciężając odrzę, podniósł słoć starając się na niego nie patrzeć. Entomolog zdawał się nie zauważać incydentu, ani niechęci obdarowanego.

– Daję to każdemu – powiedział – kto chce wiedzieć. Niech je pan wypuści w ogrodzie. Ma pan ogród? – zainteresował się poniewczasie.

– Mam – Jeremy przełknął ślinę obiecując sobie wyrzucić draństwo do rzeki.

– To dobrze – pochwalił entomolog nie przenikając jego chęci. – Jest to odmiana, którą sam wyhodowałem krzyżując termyty z mrówkami. Zniosą doskonale nasze warunki klimatyczne. Isoptera mountbattenis – tak można by je nazwać. Kopczyk nie będzie duży, najwyższej sześćdziesiąt centymetrów, góra metr, bo więcej jest w nich z termitów, niż z mrówek. Niech je pan obserwuję, do zimy mamy daleko, więc jak zaczną zasklepiać wejścia, to będzie znak...

(ciąg dalszy nastąpi)

TERMITIERA

Dokończenie

Napisał: Mirosław P. Jabłoński

Ilustrował: Przemysław Woźniak

Wracając do redakcji Jeremy czuł się nie-swojo. Co chwilę spoglądał spod oka na zawinięty w gazetę słój z owadami. Patrzył podejrzliwie obawiając się, czy jakimś cudem nie wydostają się na wolność i nie zaczną mu oblażać całego samochodu. Żeby rozproszyć ponure myśli włączył radio, ale tu było jeszcze gorzej. Morderstwa, incydenty graniczne, porwania ludzi, samolotów i satelitów, groźby terrorystów wobec państw, wymachiwanie już nie straszakiem, ale garłaczem z antymaterią przed nosami słabszych partnerów przenikały się z undergroundową muzyką i reklamami firm budujących schrony przeciwoatomowe dla osób prywatnych.

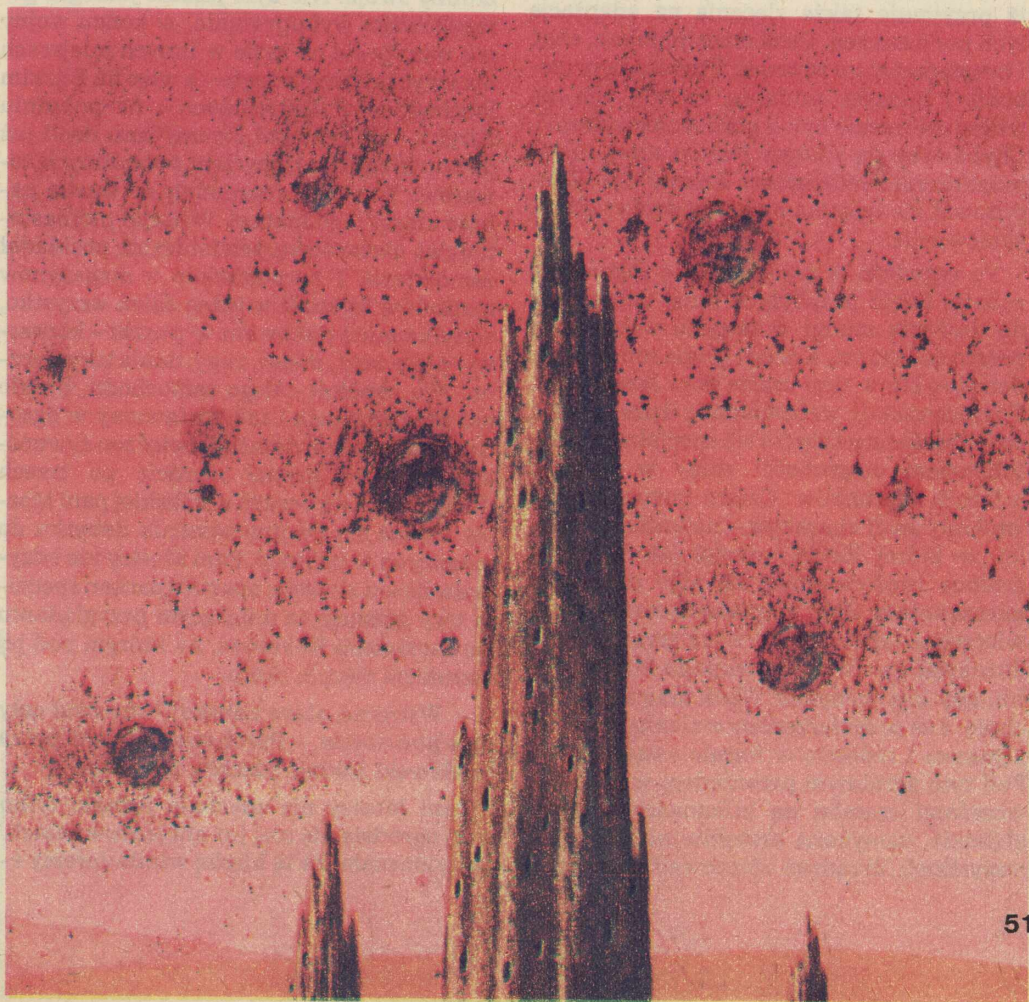
Wyłączył radio. Tak było dużo lepiej. Tylko te termity... Jak na złość, po drodze nie przejeżdżał przez żaden most i dowiózł swój ładunek do redakcji. Spłodził pospiesznie artykuł o Mountbattenie i jego teorii i położył na biurku kierownika działu. Ten pobieżnie przeleciał tekst wzrokiem, poprawił dwa przecinki i dał na maszyny. Kevin westchnął – czytelnicy odbiorą go pewnie podobnie. W zalewie katastroficznych wiadomości człowiek zajmujący się entomologią (a więc czymś, czego chyba poprawnie nie jest w stanie wymówić żaden z prenumeratorów „Obserwatora”) utonie jak siekiera w szambie. Chyba, że przyciągnie ich tytuł: „Znawca owadów zapowiada koniec świata”. A pod spodem: „Chcecie wiedzieć kiedy? Zakładajcie termitiery!”

Jeremy czuł niesmak kładąc taki nagłówek, ale tego wymagał charakter pisma. Zresztą kierownik działu i tak zmieniałby wszystko, co nie zapowiadało sensacji. Zrezygnowany powlókł się do samochodu i pojechał do domu. Przejeżdżając przez most na Tamizie nie mógł się zatrzymać, a bał się rzucić swój ładunek z jadącego auta. Bariery były wysokie i nad podziw daleko. Zaraz za mostem nie mógł znaleźć wolnego miejsca na postój, więc chciał nie chciał pojechał już prosto do siebie postanawiając pojemnik z owadami wrzucić do kubła na śmieci przed domem. Jutro śmieciarze opróżnią pojemniki i będzie po kłopotcie. Zresztą teraz, w ruchu, nie mógł sięgnąć po słój, bo podczas hamowania stoczył się z siedzenia na podłogę samochodu i toczył się w tę i z powrotem po gumowej wykładzinie – nieuchwytny i bezczelny. Jeremy bał się, żeby pojemnik nie stłukł się uderzając o stelaż siedzenia czy próg, ale w dobrym stanie dowiózł go do domu. Mieszkał w St. Alabans, na północ od Londynu, gdzie matka zostawiła mu niewielki, staroświecki domek w elżbietańskim stylu i w zacienionym, zachwaszczonym ogrodzie. To znaczy ogród zdziczał już pod rządami Jeremy'ego. Garaż zamykał się tu na solidną kłódkę, a cała armatura domku była mosiężna, z początku wieku.

Wjechał na podjazd i wysiadł, by zamknąć za sobą bramę i wrzucić słój do kubła. Kubeł na śmieci był otwarty, więc Jeremy lekkim zamachem posłał w jego paszczę pojemnik

i oczywiście nie trafił. Jak wszystko w tym domu, także i kubeł był solidny i z metalu. Stoik pękł, gazeta rozwinęła się i owady wysypały się częściowo do pojemnika, a częściowo na ziemię. Jeremy krzyknął odruchowo i zatkał sobie usta dłonią. Patrzył jak urzeczony na rozłazące się robactwo. Potem wzruszył ramionami, chociaż bardziej na pokaz i dla dodania sobie odwagi, niż z rzeczywistego lekceważenia. W końcu to tylko trochę większe mrówki, niegroźne dla ludzi. Ma je obserwować, a nie walczyć z nimi. Nie bał się ich przecież, lecz jak wszelkie owady budziły w nim wyniesioną z dzieciństwa odrazę. Nie zamknął bramy, wsiadł z powrotem do samochodu i pojechał na poszukiwanie plastikowego kubła na śmieci. Jednego był pewien – do tego starego nie zbliży się już nigdy. Zakupiony pojemnik ustawił po drugiej stronie wjazdu i dopiero wtedy uznał, że zrobił wszystko, co do niego należało.

Potem Jeremy musiał wyjechać na kilka dni, a gdy wrócił, kopiec termito-mrówek był już gotów. Miał nieco ponad pół metra wysokości, oparty był o stary, spróchniały parkan oddzielający ogród Kevina od posiadłości pani Mosley i Jeremy z przyjemnością stwierdził, że tej starej jędzy zaczęły obok płotu usychać kwiaty. Była to jednak jedyna pocieszająca wiadomość w ostatnich dniach. Na świecie było coraz gorzej i chociaż Jeremy do tej pory nie poddawał się panikarskim nastrojom, zaczął poważnie przemyśliwać nad budową schronu przeciwoatomowego. Miał nikłe pojęcie, ile taka inwestycja może kosztować i uważał, iż nie stać go będzie na to. Jednak z gazetą z ogłoszeniami w rękę zasiadł przy telefonie i nabijał rachunek tak długo, aż wyrobił sobie wyraźny obraz sytuacji panującej na rynku budowy schronów i handlu gotowymi obiektami oraz urządzeniami do nich. Rachunkiem za telefony postanowił obciążyć redakcję „Obserwatora”,



a za alibi miał tekst, jaki napisał pospiesznie o budownictwie podziemnych kryjówek. Sytuacja zaś była taka, że w zasadzie trudno już było znaleźć wykonawcę na tę usługę, wszyscy byli zawaleni robotą, brakowało sprzętu i ludzi. Podskoczyła cena koparek, świrdrów i młotów pneumatycznych, niektórzy bowiem sami usiłowali dłużyć w ziemi.

Kevin wiedział jedno – nie ma co myśleć o wynajęciu firmy. Żeby wybudować przyzwoity schron musiałby sprzedać wszystko co ma – dom, samochód, ruchomości. Wtedy zostałby sam w pustym i nie zaopatrzonym bunkrze, a istniała wszak niewielka szansa, że wojny jednak nie będzie. To już lepiej wybudować solidny grobowiec. Przynajmniej niepotrzebne są wtedy magazyny żywności, wody, wentylacja, urządzenia filtrujące i kanalizacyjne.

Po napisaniu artykułu zszedł po raz pierwszy od wielu lat do piwnic. To było jedyne co mógł przygotować, bowiem jeden z telefonicznych rozmówców zapewniał go, iż przyjmuje także zlecenia na adaptację tych pomieszczeń. Cena dużo mniejsza, choć i bezpieczeństwo również. Piwnice były głębokie i budzące zaufanie, to fakt, ale nic więcej nie można było z nimi samemu zrobić. Chyba żeby się wkopać jeszcze niżej, ale to przekraczało możliwości Jeremego. Zdecydował się więc na ową adaptację i złożył zamówienie.

Po tygodniu w jego ogrodzie rozpoczęto roboty. Część przybyłych ludzi zabrała się do drążenia studni w miejscu wskazanym przez różdżkarza, a druga grupa robotników demolowała w tym czasie dom Jeremego. Piwnice zostały wzmocnione i uszczelnione, co polegało na pokryciu ich specjalnym plastobetonem o grubości stopy w każdym z trzech kierunków. Cztery pomieszczenia zmieniły swój charakter – najmniejsza komórka, w której Kevin trzymał jakieś niepotrzebne rupiecie stała się jego przyszłym mieszkaniem. Było to pomieszczenie o powierzchni trzy na dwa i już teraz Jeremy doznawał gwałtownego napadu klaustrofobii, gdy tam wchodził. Obok urządzono kuchnię, a za przepierzeniem małej łazienki z tuszem i sedesem w formie owalnej rury. Pod tym zgrabnym przyrządem wydrążono wcześniej szambo na kilkanaście kręgów głębokie, zamykane szczelnie od góry. Do wszystkich urządzeń doprowadzono wodę

z nowo wykopanej studni, również szczelnej i zabetonowanej od góry jak czubek bunkra.

Największe piwniczne pomieszczenie zostało przeznaczone na magazyn żywności, a obok miał znaleźć swoje miejsce generator prądotwórczy i paliwo do niego. Dwie kolumny filtrująco-wentylacyjne wystawały z tyłu domu jak dwa wielkie peryskopy. Po zainstalowaniu wszystkiego i sprawdzeniu działania, Jeremy wypisał czek i został sam w nowiutkim schronie. Resztą urządzenia i wyposażenia miał się zająć już sam właściciel wedle swego gustu i przemysłowości. Na razie właściciel nie miał sił na to. Powłókł się na górę do zdeptanego i zaświnionego living-roomu i zwałił na cuchnące olejem maszynowym łóżko. Tutaj robotnicy odkładali w czasie pracy swe naoliwione narzędzia...

Następnego dnia Jeremy wyruszył na poszukiwanie skondensowanej, trwałej żywności. Przekonał się zaraz, że nie było z tym najlepiej, komunikaty w radiu i telewizji zrobiły swoje. Nie było jeszcze jakiegos gorączkowego wykupywania, w końcu wojny nie toczyły się na razie w innych miejscach niż zwyczajowo przyjęte – a więc na Bliskim Wschodzie, w Indochinach i na południu Afryki – ale podobni Jerememu mieli już pewne kłopoty z nabyciem potrzebnych towarów. Wreszcie zrozumiał, że trzeba zabrać się do tego inaczej. Wynajął piętnastotonową ciężarówkę, telefonicznie poskładał zamówienia i bezpośrednio z magazynów marketów wykupił w jeden dzień wszystko, co tylko mieli pakowane w puszki – konserwy, piwo, soki, mięso, zupy, dania turystyczne. Nie zapełnił całego samochodu, brakło mu pieniędzy, ale i tak zostawiony w ogrodzie kontener zawierał dziewięć ton żywności. Kontener musiał zwrócić po trzech dniach, więc na oczach wścibskiej pani Mosley zabrał się do przenoszenia dobytku do magazynu w piwnicy. Pani Mosley nie odzywała się ani słowem, oparta o parkan spędziła trzy godziny na milczącym przyglądaniu się sapiącemu Kevinowi, na którym pod jej wzrokiem cierpła skóra.

– Wstrętne, stare babsko! – mrucał cały czas pod nosem. – Purchawa, ropucha pełna brodawek! Bodajś zdechła, poczwaro!

Pani Mosley nie zdychała jednak, tylko w jej ogrodzie nie rósł już ani jeden kwiatek. Najwidoczniej za tę klęskę winiła Jeremego-

go, w czym nie myliła się zbyt, bo to on przecież stłukł słoik z termitami.

Po trzech godzinach w asyście niemego wyrzutu, jakim była pani Mosley, Kevin miał dość. Zamknął kontener i poszedł coś zjeść. Włączył telewizor i zobaczył w nim Mountbattena, jak równie spokojnie co w swoim laboratorium, prezentował widzom swoją teorię.

– A więc jednak dopchał się – pomyślał o entomologu. – Może to nawet sprawił mój artykuł?

To mu przypomniało o temitach i poszedł na nie popatrzeć. Po raz pierwszy, odkąd się u niego zainstalowały na dobre. Pani Mosley na szczęście już nie była, pozbawiona widoku pracującego Keviną najwyraźniej zniechęciła się i, jak można było poznać z blasku bijącego z jej okna, również oglądała Mountbattena. Jeremy podszedł ostrożnie do kopca. Jakoś mu było nieswojo, choć sam nie wiedział dlaczego. Kopiec jak kopiec, nawet nieduży, tylko twardy jak beton. Był zmierzch i drobnutkie strumyczki owadów zniknęły w jego otworach. Jeremy przemógł się i by zaimponować samemu sobie poklepał kopiec delikatnie ręką. Nic się nie stało, chociaż Kevin wstrzymał oddech, jakby w oczekiwaniu ciosu czy wybuchu. Dumny z siebie, nie chcąc nadużywać więcej własnej odwagi, wrócił do domu.

Przez następne dwa południa, pracowicie jak termit, przeniósł do magazynu schronu – tak teraz nazywał piwnicę – wszystkie zapasy. Rano trzeciego dnia miał przyjechać samochód po kontener. Kevin postanowił jeszcze kupić kilka elektrycznych grzejników i butli z gazem – sprawunek pod kątem przetrzymania „atomowej zimy” – ale z tym musiał się wstrzymać do wypłaty. Na tym w zasadzie przygotowania zakończył. Spokojny położył się spać.

Kolejne dni spędził normalnie wypełniając nieskomplikowane obowiązki reportera działu miejskiego, wypił na koszt kumpli kilka drinków i poderwał dziewczynę z „Daily Mirror”, która obiecywała znaleźć mu tam zajęcie. Jeremy nie był tym zainteresowany, nie zamierzał inwestować w przyszłość, która mogła się skończyć lada chwila. Podobne nastawienie dostrzegał o ludzi co

raz częściej – w jego mniemaniu wszystko toczyło się wyłącznie siłą rozpędu. Coraz bardziej żył swoim schronem, i w swoim schronie. By się przyzwyczaić schodził tam nocować i doszedł do wniosku, że pod warunkiem opuszczenia go na pozostałe godziny doby, można to wytrzymać. Klóciło się to nieco z zamierzoną funkcją inwestycji, ale na to nie było rady. Kevin nie wyobrażał sobie życia w bunkrze. Natomiast dziewczyna z „Mirrora” była zachwycona tym pomysłem.

Wiadomości ze świata były coraz gorsze. Państwa na kontynencie dzieliły się na te, które ogłaszały mobilizację, i na te, które się do tego nie przyznawały. W dniu, w którym Pakistan zagroził swoją bombą Indiom, Jeremy wrócił wcześniej do domu. Uznał, że to chyba już. Wjechał na podjazd, zatrzymał samochód i wysiadł, by zamknąć bramę. Przechodząc między starym i nowym kuble na śmieci przystanął nagle i zapatrzył się na kopiec termitów. Kopiec błyszczał dziwnie w słońcu i powodowany ciekawością Kevin podszedł, by dokładniej zbadać zjawisko. A gdy ujrzał i zrozumiał, zamarł ze zdumienia przemieszanego z przerażeniem – cała termitiera pokryta była cienką blachą, w której po napisach rozpoznał puszki konserwowe ze swoich zapasów! Krawędzie blach były połączone jakby delikatnym spawem i Jeremy patrząc na to nie wiadomo dlaczego zwymiotował. Trzymając się ręką za podskakujący żołądek pojął, że wojna będzie długa i ciężka, a także, że Mountbatten miał rację – ludzie jej nie przetrwają. Nawet nie zastanawiał się, w jaki sposób termity dobrały się do magazynu przez stopowej grubości plastobeton. To nie było ważne. Zataczając się wszedł do domu i zatelefonował do entomologa. Długo trzymał słuchawkę przy uchu, wysłuchując wciąż tych samych kilku zdań:

– Tu automatyczny sekretarz pana Mountbattena. Pan Mountbatten nie żyje. Prosił, by powiedzieć każdemu kto zadzwoni, że dziś wszystkie termitiery zostały zamknięte od wewnątrz. Proszę nie zostawiać żadnej wiadomości... Tu automatyczny sekretarz...